

James Dobson

Zasady nie są dla tchórzki

Jak zachować równowagę
między miłością a dyscypliną
w wychowaniu dzieci

Rozdział I

Wyzwanie

Ta książka mówi o dzieciach i o tych, którzy je kochają. Pierwsza jej wersja powstała na początku lat siedemdziesiątych, kiedy pracowałem jako profesor pediatrii na Wydziale Medycyny Uniwersytetu Południowej Kalifornii. Moje własne dzieci były wtedy w wieku przedszkolnym, toteż udzielanie porad na temat wychowania wydawało się cokolwiek ryzykowne. To tak, jakby trener przechwalał się podczas pierwszych piętnastu minut meczu, że zwycięstwo jego drużyny jest sprawą przesądzoną. Niemniej, doświadczenie zdobyte w trakcie pracy zawodowej pozwoliło mi utrwalić w sobie pewne głębokie przekonania co do tego, jak należy wychowywać dzieci i czego potrzebują one od swoich rodziców.

Od chwili, gdy po raz pierwszy zasiadłem, by pisać *Zasady nie są dla tchórzy*, minęło ponad 20 lat, a książka rozeszła się w 2 milionach egzemplarzy. Przez ten czas moje horyzonty poszerzyły się, mam też nadzieję, że mój sposób patrzenia stał się bardziej wnikliwy. Rozmawiałem z tysiącami rodzin, interesowałem się również tym, co miały do powiedzenia na temat wychowywania dzieci liczne autorytety w tej dziedzinie, a także moi koledzy po fachu. Moje dzieci przebrnęły szczęśliwie przez okres dojrzewania i założyły własne rodziny. Dlatego ze szczególną przyjemnością cofam dziś wskazówki zegara i powracam do tematów, z którymi po raz pierwszy zmagalem się tak wiele lat temu.

Można by przypuszczać, że moje poglądy na temat rozwoju dziecka oraz rodzicielstwa znacznie się przez te lata zmieniły. Otóż wcale nie. Oczywiście, tło społeczne poprzedniej wersji książki różni się zasadniczo od obecnego, dlatego właśnie trzeba było ją poprawić i rozszerzyć. Wygasła rewolucja studencka, szalejąca pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych. Woodstock¹ i wojna wietnamska to już odległe wspomnienia, miasteczka

¹ Woodstock - miasto w stanie Nowy Jork, w którym w 1969 r. odbył się wielki festiwal muzyczny, zwany Festiwalem Życia, stanowiący jednocześnie manifestację pacyfistycznego światopoglądu młodego pokolenia Amerykanów (przyp. tłum.)

studenckie są spokojniejsze i mniej buntownicze. Jednakże dzieci zawsze będą takie same. Obecnie jeszcze bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że zasady dobrego wychowywania są niezmiennie od stuleci, a swój początek biorą od Stwórcy wszystkich rodzin. Natchnione treści Pisma Świętego, przekazywane z pokolenia na pokolenie, odnoszą się w równym stopniu do dwudziestego wieku, jak i do czasów naszych przodków. Niestety, wielu współczesnych rodziców nigdy nie poznało tych odwiecznych prawd, brak im więc wskazówek, do czego należy dążyć we własnym domu.

Nigdy nie zapomnę matki, która zwróciła się do mnie o pomoc w postępowaniu ze swą buntowniczą trzyletnią córką Sandy. Zdawała sobie sprawę z tego, że ta mała dziewczynka pokonała ją całkowicie w próbie sił, stając się bezwzględny dyktatorem. W przeddzień naszej rozmowy zdarzył się incydent typowy dla sposobu, w jaki Sandy traktowała swoją mamę. Matka (nazwijmy ją pani Nicols) położyła córeczkę do łóżka na popołudniową drzemkę, wiedziała jednak, że nie ma szans, by dziecko grzecznie poszło spać. Sandy nie uważała za stosowne, by robić rzeczy, na które właśnie nie miała ochoty, a popołudniowa drzemka zdecydowanie nie należała do jej najulubieńszych zajęć.

Tym razem jednak dziecku zależało nie tyle na tym, by postawić na swoim, ile na rozwścieczeniu matki. Sandy zaczęła więc wrzeszczeć. Jej krzyki, tak głośne, że mogły wyprowadzić z równowagi wszystkich sąsiadów, szarpały i tak już rozstrojone nerwy pani Nicols. Po zakończeniu hysterii dziewczynka płaczliwym głosem zaczęła domagać się rozmaitych rzeczy, między innymi szklanki wody.

Z początku pani Nicols nie chciała spełnić rozkazów córki, uległa jednak, gdy Sandy znowu zaczęła krzyczeć. Gdy szklanka wody została dostarczona, dziecko złośliwie odmówiło picia, pod pretekstem, że matka przyniosła wodę za późno. Pani Nicols stała kilka minut, proponując wodę, po czym oznajmiła, że jeśli Sandy nie wypije, zanim ona policzy do pięciu, szklanka zostanie odniesiona do kuchni.

Sandy zacisnęła zęby i czekała, aż matka skończy liczyć: trzy... cztery... pięć! Gdy pani Nicols chwyciła szklankę i ruszyła z nią w stronę kuchni, dziecko

podniosło krzyk, że chce wody. Sandy ciągała swą znękaną matkę w tę i z powrotem niczym marionetkę, dopóki się jej ta zabawa nie znudziła.

Pani Nicols i jej córeczka, podobnie jak wiele innych osób, padły ofiarą nielogicznej, z góry skazanej na niepowodzenie filozofii postępowania z dzieckiem, która przez długi czas dominowała w literaturze z tej dziedziny. Matka przeczytała, że dziecko zacznie w końcu reagować właściwie na rozsądek oraz cierpliwość, i stanowcze postępowanie stanie się niepotrzebne. Dowiedziała się, że powinna zachęcać dziecko do buntu, gdyż stanowi on cenną szansę rozładowania wrogości. Matka starała się wprowadzać w życie zalecenia ekspertów, którzy sugerowali, by wyrażała głośno uczucia dziecka w chwili konfliktu: „Chcesz wody, ale jesteś zła, bo przyniosłam ją za późno”; „Nie chcesz, żebym odniosła wodę do kuchni”; „Nie lubisz mnie, bo każę ci spać po południu”. Nauczono ją także, że konflikty między rodzicem a dzieckiem należy postrzegać jako nieporozumienia lub różnice zapatrywań.

Niestety, pani Nicols i jej doradcy całkowicie się mylili! To, co działo się między nią i jej dzieckiem, to nie była żadna zwyczajna różnica poglądów - jej córka ją prowokowała, lekceważyła i buntowała się przeciwko niej. Żadna szczerza i otwarta rozmowa nie mogła pomóc w tej bezpośredniej konfrontacji, gdyż tak naprawdę nie chodziło tam wcale o wodę, drzemkę czy inne drobiazgi. Prawda ukryta za tym i setką innych konfliktów brzmi po prostu tak: Sandy **odrzucała autorytet matki**. Sposób, w jaki pani Nicols rozgrywała te chwile konfrontacji, miał zdecydować o charakterze ich przyszłych stosunków, szczególnie w okresie dojrzewania.

Wiele napisano o niebezpieczeństwach wywodzących się z surowej, uciążliwej, pozbawionej miłości dyscypliny. Ostrzeżenia te są jak najbardziej słuszne i trzeba je brać pod uwagę. Jednakże skutki stosowania takiej surowej dyscypliny przytacza się na usprawiedliwienie stanowiska przeciwnego - rezygnacji z jakichkolwiek zasad, a to jest po prostu głupie. Bywają chwile, kiedy dziecko obdarzone silną wolą zaciska piąstki i usiłuje sprowokować rodziców, by podjęli jego wyzwanie. Nie kieruje nim frustracja czy wewnętrzna wrogość, jak to

się często przypuszcza. Ono tylko chce wiedzieć, gdzie leżą granice, do których może się posunąć i kto je wytycza.

Wielu specjalistów, kierowanych jak najlepszymi intencjami, powiewało sztandarami tolerancji, nie proponując jednak żadnego rozwiązania kwestii nieposłuszeństwa i buntu. Podkreślali, jak ważne jest, by rodzice rozumieli swoje dziecko, z czym i ja się zgadzam. Trzeba jednak nauczyć dzieci, że i one muszą dowiedzieć się paru rzeczy o swoich rodzicach!

Pani Nicols i wszyscy jej współcześni muszą wiedzieć, **jak wytyczać granice oraz co robić, gdy pojawia się nieposłuszeństwo i buntownicze zachowanie.** Dyscyplina musi być osadzona w ramach miłości i oddania. Sprawia to często trudności rodzicom, którzy uważają, że są to rzeczy przeciwstawne. Książka *Zasady nie są dla tchórzy* poświęcona jest częściowo temu właśnie ważnemu aspektowi wychowania zdrowych i szczęśliwych dzieci, pełnych szacunku dla rodziców.

Termin „dyscyplina”, podobnie jak cała książka, nie ogranicza się wyłącznie do kontekstu konfrontacji między rodzicami a dziećmi. Dzieci trzeba również nauczyć samodyscypliny i odpowiedzialnego zachowania. Potrzebna im jest pomoc w nauczaniu się, jak dawać sobie radę z wyzwaniem i obowiązkami stawianymi przez życie. Muszą opanować sztukę **samokontroli**. Powinny zostać wyposażone w **wewnętrzną siłę**, która pozwoli im sprostać wymaganiom stawianym przez szkołę, grupę rówieśniczą, a później przez dorosłe życie.

Są ludzie, którzy nie wierzą, że można tego nauczyć. Uważają, że wszystko, co można zrobić, to poprowadzić dziecko drogą usłaną różami, usuwając wszelkie przeszkody pojawiające się w latach kształtowania się jego osobowości. Orędownicy owej filozofii leseferyzmu² zalecają, by pozwolić dzieciom zawalić szkołę, zamienić własny pokój w przysłowiowy chlewik, czy też głodzić psa, jeśli mają na to ochotę.

² leseferyzm - zostawienie komuś całkowitej swobody działania, niewtrącanie się (przyp. tłum.)

Jestem absolutnie przeciwny takiemu podejściu i zgromadziłem liczne dowody na to, iż jest ono niewłaściwe. Dzieci rozwijają się najlepiej w klimacie prawdziwej miłości połączonej z rozumnymi, konsekwentnymi wymaganiami. W czasach szerzącej się narkomanii, rozprężenia moralnego oraz jego konsekwencji, wandalizmu i przemocy nie wolno nam zdawać się na szczęśliwy traf i nadzieję, jeśli chcemy wpoić dzieciom te wartości, które sami cenimy. Permisywizm³ okazał się czymś więcej niż tylko nieskutecznym systemem wychowawczym; dla tych, którzy go wypróbowali, stał się prawdziwym nieszczęściem.

Dyscyplina połączona z miłością, jeśli stosować ją właściwie, sprawdza się w życiu! Ożywia ona delikatne uczucia, których źródłem jest wzajemny szacunek rodzica i dziecka. Brak podstawowych zasad doprowadza do rozluźnienia więzi pomiędzy członkami rodziny - ludźmi, którzy powinni się wzajemnie kochać i mieć do siebie zaufanie. Dyscyplina osadzona w klimacie miłości pozwala naszym ukochanym pociechom poznać Boga naszych przodków. Dzięki niej nauczyciele mogą wypełniać zadania, które im powierzono. Dyscyplina połączona z miłością uczy dziecko szacunku dla innych ludzi i przygotowuje do pełnienia odpowiedzialnej, konstruktywnej roli w społeczeństwie.

Jak można się spodziewać, za wymienione korzyści trzeba zapłacić pewną cenę; osiągnięcie ich wymaga odwagi, wysiłku, entuzjazmu i konsekwencji. Jeśli nam na nich zależy, **nie wolno nam bać się stosowania dyscypliny** w klimacie **prawdziwej miłości**. Krótko mówiąc: zasady nie są dla tchórzów!

³ permisywizm - pozwalanie na wszystko w ramach złe pojętej tolerancji (przyp. tłum.)

Rozdział II

Zdrowy rozsądek a skrajne postawy

Sposoby posługiwania się dyscypliną oraz poglądy leżące u ich podstaw były przedmiotem gorących dyskusji i sporów przez ostatnie siedemdziesiąt lat. Zaangażowali się w nie psychologowie, pediatrzy i profesorowie uniwersytetów, tłumacząc rodzicom, jak mają prawidłowo wychowywać swe dzieci. Niestety, wielu spośród tych „ekspertów” pozostawało ze sobą nawzajem w jawnej sprzeczności, bardziej przez to mącąc rodzicom w głowach niż likwidując wątpliwości w tej tak ważnej dziedzinie.

Być może dlatego właśnie wahadło wychylało się regularnie raz w stronę surowej, uciążliwej kontroli, to znów w stronę nieskrępowanego permissywizmu, który obserwowaliśmy w połowie naszego stulecia. Pora więc zdać sobie sprawę, że oba te skrajne poglądy wyciskają negatywne piętno na życiu swych młodych ofiar. Niezwykle trudno byłoby mi stwierdzić, który z nich jest bardziej szkodliwy.

W przypadku surowej kontroli dziecko doznaje upokorzenia spowodowanego całkowitą dominacją rodziców. Atmosfera w domu jest sztywna i lodowata, a dziecko żyje w nieustannym strachu. Nie jest w stanie samodzielnie podejmować decyzji, a jego osobowość zostaje zdeptana butem władzy rodzicielskiej. Z tak surowej dominacji wyniknąć mogą trwałe cechy zależności, głęboka i trwająca złość, a nawet psychoza.

Na szczególną troskę zasługują dziewczynki i chłopcy, nad którymi rodzice znęcają się fizycznie lub emocjonalnie. W milionach rodzin dzień po dniu popełnia się niewyobrażalne wprost zbrodnie. Trudno uwierzyć, jak okrutni potrafią być niektórzy rodzice w stosunku do bezbronnego, przerażonego dziecka, które nie rozumie, dlaczego jego najbliżsi tak go nienawidzą. Przypadków, z którymi miałem do czynienia przez lata pracy - niekochanych, maltretowanych dzieci - nie da się zapomnieć. Pamiętam okrutnego ojca, który systematycznie zawijał swojemu

synkowi głowę w prześcieradło zmoczone przez chłopca poprzedniej nocy. Następnie odwracał malucha do góry nogami i wpychał mu głowę do muszli klozetowej, aby go ukarać. Myślę też o rozwścieczonej matce, która wycięła swemu dziecku oczy żyłką. Biedna dziewczynka przejdzie przez życie nie widząc, świadoma tego, że to jej własna matka pozbawiła ją wzroku! Takie potworności jak te zdarzają się wokół nas w małych i dużych miastach na całym świecie.

Należy również zdać sobie sprawę z tego, że wielu dorosłych znęca się nad dzieckiem „bez pogwałcenia prawa”. Dokonuje tego subtelnie, prawie niedostrzegalnie, ignorując niezwykle silną potrzebę dziecka, jaką jest potrzeba troskliwości ze strony dorosłych. Inni stosują niesprawiedliwe, niesłuszne kary, w tym także działania, które mogłyby uchodzić za „kary cielesne”. Regularne bicie, policzkowanie, kopanie czy rzucanie dziecka na ziemię. Nigdy w mojej opinii były one i nie są wychowawczymi „karami cielesnymi”, lecz zwykłym bestialstwem i tyranią. Gdy do tego dojdą jeszcze upokarzające zachowania ze strony matki lub ojca, sprawia to, że dziecko czuje się głupie, niekochane, uważa się za odmieńca. W pewnych granicach takie postępowanie rodziców nie jest karalne. Nie ma nikogo, kto wybawiłby biedne dziecko, tłamszone fizycznie i psychicznie przez otaczających je dorosłych. Oby żaden fragment tej książki nie podsunął komuś myśli, że ja aprobuję tego rodzaju przemoc.

Pozwolę sobie podkreślić raz jeszcze z całą mocą, że agresywna, pozbawiona uczucia dyscyplina, wymuszająca bałwochwalczy stosunek do rodziców, ma dla dzieci zgubne skutki i nie powinna być tolerowana. Rodzice, którzy w stosunku do swych dzieci są zimni i surowi, wyrządzają im często krzywdę na całe życie. W tym miejscu łatwo zrozumieć mnie opacznie, zalecam przecież w czwartym rozdziale tej książki **rozsądne stosowanie kar cielesnych w pewnych okolicznościach i granicach**. Niech znikną wszelkie wątpliwości - **nie popieram surowości rodziców**, i kropka! Dzieci są niezwykle wrażliwe na odrzucenie, ośmieszenie, krytykę i gniew ze strony najbliższych, a przecież zasługują na to, by wzrastać w atmosferze bezpieczeństwa, akceptacji i ciepła.

Należy stwierdzić, o czym była już wcześniej mowa, że druga skrajność jest także szkodliwa dla dzieci. Przy braku wymagań ze strony osoby dorosłej dziecko

od najwcześniejszych chwil niemowlęstwa samo staje się sobie panem. Uważa, że cały świat kręci się wokół jego fascynującej osoby, a swoich najbliższych często traktuje z najwyższym lekceważeniem. W takim domu panuje anarchia i chaos; matka jest często najbardziej znerwicowaną i sfrustrowaną kobietą w całej okolicy. Gdy dziecko jest małe, matka zostaje uwięziona w domu - za bardzo się wstydzi swego małego złoźnika, by go gdziekolwiek ze sobą zabrać. Gdyby taka sytuacja rodziła owoce w postaci zdrowych, mających poczucie bezpieczeństwa dzieci, to warto byłoby ponieść te trudy. Tak się jednak oczywiście nie dzieje.

Wielu autorów wyrażających w ostatnich latach publicznie swoje opinie na temat dyscypliny namąciło w głowach rodzicom sprawiając, że stali się oni niezdolni do rozsądnego rządzenia we własnym domu. Autorzy ci nie wzięli bowiem pod uwagę, że większość dzieci chce samodzielnie kierować swoim życiem i tryumfować w próbie sił, jaka zwykle rozgrywa się między pokoleniami.

W mojej książce *The Strong - Willed Child* (Dziecko o silnej woli) przytoczyłem fragment tekstu na temat wychowania, zatytułowanego *Twoje dziecko w wieku od dwóch do pięciu lat*, a opublikowanego w okresie permissywnizmu lat pięćdziesiątych. Fragment ten, w którym znajdowały się rady zaczerpnięte z prac dr. Luthera Woodwarda, brzmiał następująco:

Co robić, gdy twój przedszkolak nazywa cię wstrętną wiedźmą albo grozi, że cię splucze w muszli klozetowej? Skrzyczeć, ukarać, czy też świadomie przejść nad tym do porządku dziennego? Dr Woodward zaleca politykę wyrozumiałości jako sposób, który najlepiej i najszybciej pomoże dziecku wyrosnąć z tej słownej agresji. Kiedy rodzice w pełni zdają sobie sprawę z tego, że wszystkie małe dzieci odczuwają czasem złość i chęć niszczenia, łatwiej im jest zminimalizować te wybuchy. Gdy dziecko w wieku przedszkolnym pozbędzie się uczucia wrogości, chęć niszczenia mija; wtedy mają szansę wykielkować i rozwinąć się instynktowne uczucia miłości i oddania. Dziecku sześć- lub siedmioletniemu rodzice mogą w odpowiedni sposób dać do zrozumienia, że powinno już zacząć wyrastać z pyskowania.

Przedstawiwszy te rady, z którymi ja się absolutnie nie zgadzam, dr Woodward powiedział następnie rodzicom, że muszą przygotować się na niesłuszną krytykę. Napisał, że polityka pozwalania dziecku na prowokowanie rodziców wymaga szerokiej perspektywy i wielkiego opanowania, zwłaszcza gdy

znajomi i rodzina wyrażają dezaprobatę, ostrzegając nas, że wychowujemy małego rozbójnika.

W tym przypadku znajomi i krewni najprawdopodobniej będą mieli rację. To co zaleca dr Woodward, jest typowe dla porad udzielanych rodzicom w połowie obecnego stulecia. Zachęca się ich do przyjęcia biernej postawy w latach kształtowania się osobowości dziecka, kiedy tak łatwo nauczyć je szacunku dla autorytetów. W mojej książce *The Strong - Willed Child* zareagowałem na powyższe porady następująco:

Sugestie dr. Woodwarda opierają się na uproszczonym założeniu, że dzieci rozwiną w sobie łagodną, pełną miłości postawę, jeśli my, dorośli, pozwolimy im w dzieciństwie na wybuchy złości, a nawet będziemy do nich zachęcali. Według tego wielkiego optymisty dzieciak, który przez sześć czy siedem lat nazywał matkę wstrętną wiedźmą, zacznie ją nagle darzyć miłością i otaczać szacunkiem. Taki obrót sprawy jest wysoce nieprawdopodobny. Propagowana przez dr. Woodwarda niekonwencjonalna polityka wyrozumiałości, oznaczająca w praktyce stanie z założonymi rękami, w wielu wypadkach prowadzi w sposób nieodwracalny do buntu w okresie dojrzewania.

Jestem przekonany, że jeśli dzieci mają być uprzejme, życzliwe i miłe, to cechy te trzeba im wpoić, a nie liczyć na to, że pojawią się same. Jeśli chcemy w zachowaniu naszych potomków widzieć uczciwość, prawdomówność i bezinteresowność, to wartości te muszą być celem naszych świadomych działań wychowawczych od samego początku. Jeśli ważne jest, by dzieci wyrastały na odpowiedzialnych, pełnych szacunku młodych obywateli, to powinniśmy przystąpić do kształtowania ich w odpowiedni sposób. Istota rzeczy jest oczywista: **Dziedziczność nie gwarantuje dzieciom właściwych postaw; dzieci przyswajają sobie to, czego się je uczy.** Nie możemy oczekiwać, że pożądane zachowanie pojawi się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jeśli wcześniej nie wykonaliśmy tego, co do nas należało.

Rady, jakich dr Woodward i jemu podobni przez całe lata udzielali matkom i ojcom, spowodowały coś w rodzaju paraliżu w postępowaniu z własnymi dziećmi. Skoro brak było „przyzwolenia” na egzekwowanie posłuszeństwa, rodzicom pozostawała jedynie **złość** i **frustracja** jako odpowiedź na prowokacyjne zachowania dzieci.

W tym momencie przypomina mi się pewna rodzina z czwórką najbardziej niezdolnych dzieci, jakie kiedykolwiek w życiu widziałem. Dzieciarnia ta była postrachem całej okolicy. Zachowywali się głośno, agresywnie i lekceważąco. Wpadali jak burza do cudzych garaży, zabierając z nich narzędzia i sprzęt. Sąsiedzi byli zmuszeni zlikwidować krany umieszczone na zewnątrz domów, gdyż dzieci uwielbiały odkręcać je w czasie nieobecności właścicieli.

Przyjrząwszy się metodzie wychowawczej stosowanej przez matkę owych dzieci można było wyraźnie stwierdzić, co w tej rodzinie szwankuje. Nadzór nad tym rozbrykanym stadkiem sprowadzał się do prostej zasady: kiedy dzieci zaczynały klócić się zbyt głośno na podwórku, matka wypadała z domu - mniej więcej co godzina - krzycząc:

„Dosyć tego, dzieciaki! Dosyć tego!” Po czym znikwała z powrotem. Dzieci nigdy nie zwracały na nią uwagi. Jeśli nawet wiedziały, że stoi obok, nie dawały tego po sobie poznać. Ona jednak najwyraźniej uważała, że wystarczy co jakiś czas wyskoczyć z domu niczym kukułka z zegara i przypomnieć dzieciom o swojej obecności. Doprawdy, musi istnieć jakiś lepszy sposób na wypełnianie tych budzących grozę obowiązków rodzicielskich, którymi obarczył nas Bóg.

Skoro obie skrajności przynoszą szkody, jak wobec tego znaleźć bezpieczną drogę pośrednią? Z pewnością istnieje logiczna, rozsądna metoda wychowywania dzieci, która mogłaby kierować naszym postępowaniem w domu. Czy socjologowie nie mogliby wystąpić z jakimś realnym planem działania? Zabrzmiałoby to może jak herezja w ustach kogoś, kto spędził dziesięć lat życia na badaniach behawiorystycznych i medycznych, ale nie wierzę w to, by środowisko naukowców było najlepszym źródłem informacji na temat właściwych metod wychowania. Oczywiście, pojawiły się różne cenne opracowania, jednak wzajemne stosunki łączące rodziców i dziecko to kwestia ogromnie złożona i delikatna. Jedyne sposoby naukowego jej rozpatrzenia to sprowadzenie owych stosunków do najprostszego wspólnego mianownika, aby można było dokonać ich analizy. W ten sposób jednak pozbawia się je całościowego kolorytu. Są w życiu rzeczy tak skomplikowane, że właściwie niemożliwe do ścisłego zbadania; do takich rzeczy zaliczyłbym wychowywanie dzieci.

Najlepsze źródło informacji dla rodziców odnaleźć można w mądrości etyki judeochrześcijańskiej, która swój początek wzięła od samego Stwórcy, a potem - od czasów Chrystusa - przekazywana była z pokolenia na pokolenie. To jest coś, co moja matka, babka i prababka rozumiały niemal intuicyjnie. W kulturze zachodniej powszechnie podzielano pewne poglądy na temat dzieci i ich potrzeb. Nie wszyscy się do nich stosowali, ale większość ludzi je akceptowała. Kiedy sto lat temu rodziło się dziecko, ciotki, siostry i babki odwiedzały młodą matkę, by pouczyć ją, jak ma się opiekować maleństwem. W ten prosty sposób przekazywały tradycyjną mądrość i spuściznę następnemu pokoleniu, które później miało wypełnić to samo zadanie wobec swoich następców. Taki system funkcjonował całkiem sprawnie aż do lat dwudziestych, a nawet dłużej. Powoli jednak kultura Zachodu zaczęła tracić zaufanie do tradycji, przenosząc je z kolei na specjalistów. Jednym z pierwszych i najbardziej wpływowych guru, jacy się wówczas pojawili, był behawiorysta J. B. Watson. Przedstawił on „pewną i bezpieczną” metodę wychowywania dzieci, na którą kobiety łąpały się jak ryby na wędkę. Jeśli tylko zastosują się do jego porad - twierdził - wychowają dziecko, na kogo będą chciały: lekarza, prawnika, artystę, handlowca, a nawet... tak, nawet na żebraka lub złodzieja.

Watson radził rodzicom - jeśli pragną osiągnąć jak najlepsze rezultaty - by nie okazywali swym dzieciom uczuć. W swej książce *Psychological Care of Infant and Child* (Opieka psychiczna nad niemowlęciem i dzieckiem) pisał tak:

Nigdy ich nie przytulaj ani nie całuj, nie pozwalaj im siadać ci na kolanach. Jeśli już musisz, to pocałuj je raz w czoło, kiedy przychodzą wieczorem powiedzieć ci dobranoc. Rano witaj je podaniem ręki. (...) Gdy kusi cię, żeby je popieścić, pamiętaj - miłość macierzyńska to niebezpieczne narzędzie, które może zadać niegojącą się ranę. Sprawi ona, że dzieciństwo twych potomków będzie nieszczęśliwe, a okres dojrzewania stanie się koszmarem. Narzędzie to może zniszczyć przyszłość zawodową twego syna czy córki, a także przekreślić ich szanse na szczęśliwe małżeństwo.

Powyższe rady dr. Watsona brzmią dzisiaj jak kompletny nonsens, czym też są w istocie. Trudno zresztą uwierzyć, by ktokolwiek miał zaufanie do tego typu porad nawet w roku 1928. Jednakże Watson był w swoim czasie niezwykle popularny, a jego książki rozchodziły się w milionach egzemplarzy. Matki i

ojcowie pracowali pilnie, by „uwarunkować” swe dzieci w sposób zalecany przez tego „specjalistę” od siedmiu boleści.

Potem pojawili się dr Zygmunt Freud, dr Benjamin Spock, dr A. S. Neill (patrz rozdział 7), dr Tom Gordon⁴⁴, dr Ruth Westheimer⁵⁵, a także Phil Donahue⁶⁶, Oprah Winfrey oraz czasopisma takie jak *Ladies' Home Journal*, *Cosmopolitan* czy *Redbook*⁷. I wreszcie - gazeta dla „dociekliwych umysłów, które chciałyby wiedzieć”. Przy każdej nowej, dziwacznej propozycji, która się pojawiała, zadawałem sobie pytanie: Jeśli ich nowe podejście do wychowywania dziecka jest tak wspaniałe, to dlaczego nie dostrzeżono go wcześniej? Jak to możliwe, że przez ponad 5 tysięcy lat 20 miliardów rodziców nie zauważyło takiego rozwiązania? Przecież doświadczenia zebrane przez wszystkie matki i wszystkich ojców to jednak jest coś!

Główny cel, dla którego napisałem tę książkę - zarówno jej wersję z 1970 r., jak i obecną - to zanotowanie refleksji dotyczących mojego rozumienia judeochrześcijańskiej koncepcji wychowania, którą kierowały się przez wieki miliony matek i ojców. Jestem przekonany, że przyniesie ona pomyślne rezultaty w każdym domu. Przejdźmy więc do omówienia pięciu filarów, na których opiera się zdroworozsądkowe wychowywanie dzieci.

1. Wychowanie w dziecku szacunku dla rodziców to czynnik przełomowy w wychowaniu. Dziecko musi bezwarunkowo nauczyć się szacunku dla rodziców - nie po to, by zaspokoić ich „ego”, lecz dlatego, że jego stosunki z rodzicami stanowią podstawę dla późniejszego nastawienia wobec wszystkich innych ludzi. To, w jaki sposób małe dziecko postrzega autorytet rodzicielski, rzutuje później na jego spojrzenie na autorytety w szkole, na stróżów prawa, pracodawców i innych ludzi, z którymi przyjdzie mu kiedyś żyć i pracować. Oddziaływanie na siebie rodziców i dziecka to pierwsze i najważniejsze stosunki

⁴ Thomas Gordon - twórca popularnego w USA Kursu Skutecznego Rodzicielstwa (Parent Effectiveness Training), wyznający teorię przeciwnej władzy rodzicielskiej (przyp. tłum.)

⁵ Ruth Westheimer - seksuolog-terapeuta, występująca często w amerykańskich programach telewizyjnych i radiowych oraz na łamach czasopism (przyp. tłum.)

⁶ Phil Donahue - autor popularnego w USA show telewizyjnego (przyp. tłum.)

społeczne, jakich dziecko doświadcza; problemy i trudności, które się wtedy pojawiają, można często zaobserwować w późniejszym życiu.

Szacunek dla rodziców jest niezbędny z jeszcze jednego, równie ważnego powodu. Jeśli chcemy, by dziecko przyjęło nasze wartości, gdy będzie już nastolatkiem, to musimy być godni jego szacunku we wcześniejszych latach. Jeśli dziecko przez pierwszych piętnaście lat swego życia umie skutecznie przeciwstawiać się rodzicom, śmiejąc się im w twarz i uparcie drwiąc z ich zasad, to w sposób naturalny rozwinie się w nim pogarda dla nich.

„Głupia stara matka! Głupi stary ojciec! Owinąłem ich sobie dookoła małego palca! Pewnie, że mnie kochają, ale tak naprawdę to myślę, że się mnie boją”. Dziecko może tych słów nigdy nie wypowiedzieć, ale przychodzą mu na myśl za każdym razem, gdy uda mu się przechytryć rodziców, wygrywając kolejne utarczki i batalie. Później prawdopodobnie zmanifestuje swoje lekceważenie w bardziej spektakularny sposób. Uważając swoich rodziców za niegodnych szacunku, dziecko może również odrzucić każdy element ich filozofii życiowej i wiary.

Fakt ten ma zasadnicze znaczenie dla rodziców wierzących, którzy chcą zaszczyć w swych synach i córkach miłość do Jezusa Chrystusa. Dlaczego? Dlatego, że małe dzieci zwykle utożsamiają swych rodziców, a zwłaszcza osobowość ojca, z ... osobowością Boga. Dlatego też, jeśli mama i tata nie są godni szacunku, to nie jest go również godna ich moralność, ich kraj, wartości i przekonania, a nawet ich religia.

Byłem wstrząśnięty, gdy dostrzegłem tę niemal całkowitą identyfikację Boga ze mną w umyśle naszego, dwuletniego wówczas, syna. Ryan obserwował, jak modlimy się z żoną przed każdym posiłkiem, ale nigdy go nie zachęcaliśmy, żeby się przyłączył. Pewnego dnia, kiedy wyjechałem służbowo, Shirley spontanicznie zwróciła się do małego z pytaniem, czy chce się pomodlić przed jedzeniem. Ta propozycja mocno go zaskoczyła, ale złożył swe małe rączki, pochylił głowę i rzekł: „Kocham cię, tato. Amen”.

Gdy wróciłem do domu i Shirley opowiedziała mi tę historię, zaniepokoiłem się. Nie zdawałem sobie dotąd sprawy, do jakiego stopnia Ryan utożsamia mnie z „Ojcem Niebieskim”. Byłem absolutnie przekonany, że ta rola mi nie odpowiada. To zadanie przerastało mnie i nie chciałem brać na siebie związanej z nim odpowiedzialności. Nie miałem jednak wyboru. Bóg dał nam za zadanie reprezentowanie Go wobec naszych dzieci w okresie formowania się ich osobowości. Dlatego jest rzeczą tak niezmiernie ważną, byśmy zapoznali nasze pociechy z dwoma zasadniczymi przymiotami Boga: niezgłębioną miłością oraz sprawiedliwością. Jeśli kochamy nasze dzieci, lecz pozwalamy, by traktowały nas lekceważąco i z pogardą, to zniekształcamy w ich umysłach obraz Boga Ojca. Z kolei, jeśli jesteśmy surowi i skłonni do wymierzania kar, nie okazując przy tym miłości, przechylamy szalę wagi w drugą stronę. To, czego nauczymy dzieci o Bogu, zależy w pewnym stopniu od tego, jaki użytek robimy z miłości i dyscypliny w naszych stosunkach z nimi. Przerazająca odpowiedzialność, prawda?

Kwestia szacunku okazuje się także przydatna w interpretowaniu konkretnego zachowania dziecka. Rodzice powinni przede wszystkim zdecydować, czy niepożądane zachowanie stanowi jawne wyzwanie dla ich autorytetu, dla ich roli matki czy ojca. W zależności od tego, do jakich wniosków dojdą, powinni podjąć odpowiednie kroki.

Przypuśćmy, że mały Chris wygłupia się w pokoju gościnnym i wpada na stół, tłukąc wiele cennych filiżanek z chińskiej porcelany. Albo na przykład Wendy gubi rower lub zostawia na deszczu dzbanek do kawy, należący do jej matki. Przykłady te świadczą o zwykłej dziecięcej lekkomyślności i tak też należy je traktować. Być może rodzice zbagatelizują całe zajście, a może każą dziecku odpracować straty - zależy to będzie oczywiście od wieku i dojrzałości dziecka.

W opisanych sytuacjach nie chodzi jednak o jawny bunt wobec władzy rodzicielskiej. **Nie są to przypadki rozmyślnego nieposłuszeństwa i hardości**, dlatego też nie powinny być surowo karane. Moim zdaniem klapsy (o których będzie mowa później) należy zarezerwować na takie chwile, kiedy dziecko - w wieku od osiemnastu miesięcy do dziesięciu lat - mówi rodzicom wyzywająco, np.: „Nie chcę!” albo „Zamknij się!”. Gdy zachowanie dziecka jest przejawem takiego

właśnie buntu i uporów, trzeba natychmiast **reagować na rzucone wyzwanie**. Chwila bezpośredniej konfrontacji pomiędzy dorosłym a dzieckiem to nie czas na dyskusję o posłuszeństwie, ani na wysyłanie go do jego pokoju, by tam się „wydąsało”. Nie jest też rzeczą właściwą odkładać wymierzanie sprawiedliwości do czasu, aż zmęczony małżonek przywlecze się z pracy.

Narysowaliśmy na ziemi linię, a dziecko rozmyślnie pcha swój różowy paluszek u nogi na drugą stronę. Kto zwycięży? Kto ma więcej odwagi? Kto tu rządzi? Jeśli nie odpowiemy naszym dzieciom stanowczo na te pytania, sprowokują następne potyczki, których celem będzie stawianie tych samych pytań wciąż na nowo. Największym paradoksem dzieciństwa jest to, że **dzieci chcą być kierowane przez rodziców, ale chcą też, by rodzice sobie najpierw na to prawo do rządzenia zapracowali**.

Jeśli matki i ojcowie nie potrafią objąć prowadzenia w chwilach prowokacji, mogą sprawić, że życie całej rodziny zmieni się w jedno pasmo smutku i cierpienia. Tak stało się w przypadku państwa Hallows, rodziców nastolatki imieniem Becky (imię i nazwisko zostały zmienione). Pan Hallows przyszedł do mnie pewnego popołudnia zrozpaczony i opowiedział mi o przyczynach swego stanu. Rodzice nigdy nie żądali od Becky posłuszeństwa ani szacunku; okres jej wczesnego dzieciństwa był ciężką próbą dla całej rodziny. Pani Hallows wierzyła, że Becky stanie się w końcu bardziej posłuszna, nigdy to jednak nie nastąpiło. Dziewczynka od najmłodszych lat całkowicie lekceważyła rodziców, była ponura, samolubna, odnosiła się do nich z pogardą i nie wykazywała najmniejszej chęci współpracy. Państwo Hallows uważali, że nie mają prawa stawiać córce żądań, toteż uśmiechali się uprzejmie i udawali, że nie widzą jej strasznych zachowań.

W miarę jak Becky wkraczała w okres dojrzewania, rodzicom coraz trudniej przychodziło zachowywanie dotychczasowej wielkodusznej postawy. Dziewczyna była wiecznie ze wszystkiego niezadowolona; pełna odrazy szydziła ze swej rodziny. Państwo Hallows bali się jej sprzeciwić w jakikolwiek sposób, gdyż reagowała wybuchami niepohamowanej złości. Rodzice padli więc ofiarą emocjonalnego szantażu. Myśleli, że zdołają przekupić córkę, by zechciała z

nimi współpracować; w tym celu zainstalowali w jej pokoju osobny telefon. Nie okazała bynajmniej wdzięczności, oni natomiast osłupieli na widok rachunku, który przyszedł po miesiącu.

Potem rodzice wymyślili, że może prywatka ucieszyłaby ich córkę. Pani Halloway włożyła wiele wysiłku w udekorowanie domu i przygotowanie przekąsek. W umówionym dniu do domu wtargnęła banda brudnych, rozwydrzonych nastolatków, tłukących zastawę i niszczących sprzęty. W ciągu wieczoru pani Halloway powiedziała coś, co rozzłościło Becky; dziewczyna uderzyła matkę i zostawiła ją leżącą na podłodze łazienki w kałuży krwi.

Pana Halloway nie było w tym czasie w domu. Gdy wrócił, jego żona nadal leżała na podłodze bez ruchu, niefrasobliwa córeczka zaś tańczyła w najlepsze z przyjaciółmi na podwórku. Opowiadając mi szczegóły tego koszmarnego wieczoru, pan Halloway miał łzy w oczach. Jego żona - jak mnie poinformował - nadal przebywała w szpitalu, leżąc okaleczenia i rozmyślając o klęsce wychowawczej, jaką poniosła.

Rodzice tacy jak państwo Halloway często nie rozumieją, że miłość i dyscyplina powinny iść ze sobą w parze, kształtując wspólnie postawę dziecka. Nie są to dwa sprzeczne ze sobą aspekty wychowania, z których jeden działa przeciw drugiemu, lecz dwa nierozłączne wymiary tej samej wartości. Stosowanie dyscypliny to nie gwałt zadany miłości rodzicielskiej, ale funkcja tej miłości. Prawidłowe karanie to nie jest coś, co rodzice robią **ukochanemu dziecku**, lecz **dla ukochanego dziecka**. Gdyby państwo Halloway rozumieli to, kiedy Becky była młodsza, oszczędziłoby im to owego koszmaru w okresie jej dojrzewania.

Gdy Becky Jeszcze jako mała dziewczynka, buntowała się przeciw rodzicom, ich postawa powinna być następująca: „Za bardzo cię kochamy, żeby ci pozwolić na takie zachowanie”. Do małego dziecka takie przesłanie trafi lepiej, jeśli zostanie zilustrowane przykładem. Moim dzieciom, gdy były jeszcze bardzo małe i przekraczały granice dającego się tolerować zachowania, opowiadałem następującą historyjkę:

Słyszałem kiedyś o małym ptaszku, który mieszkał w gnieździe ze swoją mamusią. Mama musiała go zostawić samego, żeby nalapać trochę much do

jedzenia; zapowiedziała ptaszce, że ma się nie ruszać z gniazda, dopóki ona nie wróci. Ale ptaszek jej nie słuchał - wyskoczył z gniazda i spadł na ziemię, gdzie go schwycił wielki kot. Kiedy ja wam mówię, żebyście mnie słuchali, to robią tak dlatego, że wiem, co jest dla was najlepsze - tak jak mama małego ptaszka wiedziała, co jest najlepsze dla niego. Kiedy każę wam zostać na podwórku, to dlatego te nie chcą, żebyście wybiegali na ulicę, bo mógłby was przejechać samochód. Kocham was i nie chcę, żeby wam się coś stało. Jeżeli nie będziecie mnie słuchali, to będę wam musiał dawać klapsy, żebyście sobie zapamiętali, jakie to ważne. Zrozumiano?

Jak już wspomniałem, moja własna matka bardzo dobrze rozumiała, na czym polega właściwa dyscyplina. Z wielką wyrozumiałością podchodziła do mojego dzieciennego zachowania i w większości przypadków wykazywała zdrowy rozsądek. Jeśli nie wracałem ze szkoły na czas, ale potrafiłem uzasadnić swoje spóźnienie, sprawa się na tym kończyła. Jeśli nie wywiązywałem się z obowiązków, siadaliśmy razem i staraliśmy się osiągnąć porozumienie w sprawie dalszego postępowania. W jednej tylko kwestii matka była całkowicie nieugięta: nie znosiła pyskowania. Wiedziała, że „odszczekiwanie” czy - jak to nazywała - wyjeżdżanie z buzią” to najpotężniejsza broń, prowadząca do dziecięcego buntu, i że należy się jej sprzeciwić.

Bardzo wcześnie przekonałem się, że jeśli chcę powiedzieć matce coś ostrego, to lepiej, żebym się znajdował w odległości co najmniej kilku metrów. Tylko w ten sposób mogłem uchronić się przed natychmiastową reakcją - zazwyczaj wymierzoną w moje siedzenie.

Dzień, w którym pojąłem znaczenie pozostawania w bezpiecznej odległości, wciąż powraca echem w mojej pamięci. Popełniłem ten błąd, że bezczelnie odpowiadałem matce stojąc niecałe półtora metra od niej i drogo za to zapłaciłem. Wiedziałem, że przekraczam granicę dopuszczalnego zachowania i ciekaw byłem, jak ona zareaguje. Nie musiałem długo czekać, żeby się o tym przekonać. Mama zakręciła się dokoła w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby wyrazić swą dezaprobatę i ręka jej natrafiła na pas do pończoch. W tamtych czasach posiadał on mnóstwo tajemniczych zatrząsków i sprzączek. Matka zamachnęła się i cisnęła we mnie tym strasznym szczegółem garderoby; wciąż słyszę ten świst, gdy pas szybował w powietrzu. Najpierw poczułem uderzenie prosto w pierś, a potem

owinęła się wokół mnie cała masa sprzączek i klamerek. Tym jednym ciosem matka spuściła mi solidne lanie! Od tej pory bardzo się liczyłem ze słowami, kiedy się do niej zwracałem. Nigdy więcej nie odezwałem się do niej bez szacunku, nawet kiedy miała 75 lat.

Opowiadałem już tę historię wielokrotnie, spotykając się z ciekawymi reakcjami. Większość ludzi uznawała ją za śmieszna i w pełni rozumiała nieszkodliwość całego incydentu. Kilka innych osób, które nigdy nie zetknęły się z moją matką i nie widziały jej ogromnej miłości do mnie, pośpiesznie ją potępiło za brutalność jej czynu. Pewien psycholog chrześcijański poświęcił nawet cały rozdział swej książki wykazaniu, jakie okrutne było to lanie. A pewien człowiek z Wichita w stanie Kansas tak się na mnie rozgniewał za rozpowszechnianie tej historii, że nie przyszedł na mój wykład. Potem przyznał się, że źle przeczytał jedno słowo i sądził, iż moja matka uderzyła mnie blachą do pieczenia⁸.

Jeśli macie ochotę przyłączyć się do tej krytyki, to proszę, najpierw mnie wysłuchajcie. Jestem jedyną osobą na świecie, która może właściwie ocenić rozmiary czynu mojej matki. Ja jeden tego doświadczyłem. I oto chcę wam powiedzieć, że ów cios pasem do pończoch to był akt miłości! Moja matka bez chwili namysłu oddałaby za mnie życie, o czym zawsze wiedziałem. Nie dopuściłaby, żeby jeden włos spadł z mojej kędzierzawej głowy. Owszem, wpadła we wściekłość, kiedy bezczelnie się do niej odezwałem, ale jej gwałtowna reakcja miała na celu poprawę mojego zachowania. Oboje wiedzieliśmy, jak bardzo zasługuję na karę. I dlatego chwilowy ból związany z tym wydarzeniem nie zniszczył mojego poczucia własnej wartości. Możecie mi wierzyć lub nie, ale czułem się kochany. Tak właśnie wygląda prawda, panie doktorze psychologii, bez względu na to, czy się pan z tym zgadza, czy nie.

Pozwolę sobie teraz powiedzieć rzecz oczywistą. Zdaję sobie sprawę z tego, że te same okoliczności mogłyby świadczyć o całkowitym odrzuceniu i największej wrogości. Gdybym nie wiedział, że matka mnie kocha, gdybym nie zasłużył sobie na karę, gdyby mnie często i niesłusznie bito nawet za drobne przewinienia, to ten sam furkoczący pas wyrządziłby mi ogromną krzywdę. Nie chodzi tutaj o krótkotrwały ból, ale o rzeczywiste znaczenie tego, co się stało.

Ten jeden przykład pokazuje, dlaczego tak trudno jest przeprowadzić wyczerpujące badania dotyczące metod wychowywania dzieci. Pojedyncze fakty są zbyt subiektywne, by można je było swobodnie dobierać i analizować. Złożoność zjawiska wyjaśnia także, dlaczego pracownicy socjalni, których zadanie polega na ratowaniu dzieci maltretowanych przez rodziców, mają często tak wielkie problemy ze sprawiedliwą oceną sytuacji. Wielu dobrych rodziców w kochających domach utraciło prawa rodzicielskie z powodu mylnie zinterpretowanych dowodów. Na przykład siniak wielkości dziesięciocentówki na pośladku dziecka o jasnej karnacji może świadczyć o znęcaniu się nad nim, ale wcale nie musi - to zależy. W skądinąd porządnej, kochającej rodzinie taki siniak może mieć nie większe znaczenie psychiczne dla dziecka niż otarte kolano czy stłuczony palec u nogi. I tutaj rzeczą istotną jest nie ów drobnny ślad, ale znaczenie, jakie się za nim kryje - sposób, w jaki doszło do jego powstania i całokształt stosunków między rodzicami a dzieckiem. Tymczasem wielu rodziców tonie w rozpacz, ponieważ stracili swoje dzieci na podstawie takich właśnie pojedynczych dowodów. Sytuację tę można nazwać znęcaniem się nad rodzicami.

Proszę nie pisać do mnie listów pełnych oskarżeń o to, że bronię rodziców, którzy systematycznie biją swoje dzieci lub krzywdzą je w jakiś inny, nawet mniej dotkliwy sposób. To jest oczywiście złem i nie powinno mieć miejsca. Ktoś jednak musi mieć na tyle odwagi, by stwierdzić, że zanim zabierze się dziecko z dobrego, dającego mu poczucie bezpieczeństwa domu, trzeba przyjrzeć się całokształtowi stosunków łączących je z rodzicami. Takiej decyzji, zmieniającej całe życie rodziny, nie wolno opierać na pojedynczych przesłankach.

Wracając do kwestii szacunku, chciałbym zaznaczyć, że musi być ona rozpatrywana dwukierunkowo. Rodzice nie mogą wymagać od dzieci, by te otaczały ich szacunkiem, jeśli sami nie traktują ich podobnie. Powinni zachować delikatność w stosunku do wewnętrznego „ja” swojego dziecka, nigdy nie traktując go lekceważąco i nie zawstydzając w obecności jego koleżanek lub kolegów. Dyscyplinę należy zazwyczaj stosować z dala od ciekawskich spojrzeń żądnych sensacji widzów. Nie należy się śmiać z dzieci, jeśli to sprawia im przykrość. Silne emocje i natarczywe prośby dziecka, nawet jeśli wydają się głupie, trzeba poddać uczciwej ocenie. Dziecko powinno czuć, że „ja naprawdę obchodzę moich

rodziców”. Poczucie własnej wartości to najbardziej kruchy element natury ludzkiej. Mogą nim zachwiać nawet drobne incydenty, a odbudować je jest na ogół dosyć trudno.

Dlatego też ojciec, który odnosi się do swych dzieci zgryźliwie i z sarkazmem, nie może oczekiwać od nich w zamian prawdziwego szacunku. Dzieci mogą bać się go na tyle, że ukryją swą pogardę, zemsta jednak często nadchodzi, gdy wkraczają w wiek dojrzewania. Dzieci rozumieją mądrość starego przysłowia: „Nie drwij z krokodyla, dopóki nie jesteś na drugim brzegu”. Złośliwy, ironiczny ojciec może na pewien czas zastraszyć domowników, ale jeśli nie będzie okazywał im szacunku, mogą oni odpłacić mu wrogością, gdy osiągną bezpieczny próg dojrzałości.

Zanim zakończymy temat szacunku, powiedzmy sobie parę słów o tym cudownym okresie w życiu człowieka, kiedy z niemowlęcia staje się on małym dzieckiem. Okres ten rozpoczyna się z hukiem (na przykład tłukącej się lampy lub porcelanowego wazonu) mniej więcej w **osiemnastym** miesiącu życia i przebiega dość burzliwie, by zakończyć się około **trzecich urodzin**. Małe dziecko to najzagorzalszy przeciwnik prawa i porządku, święcie przekonany o tym, że cały wszechświat kręci się wokół niego. Ten mały spryciarz jest ciekawy świata, czarujący, zabawny, sympatyczny i fascynujący, a jednocześnie... samolubny, wymagający, buntowniczy i niszczyielski. Komik Bill Cosby musiał przekonać się o tym na własnej skórze, gdyż powiedział podobno: „Dajcie mi dwustu energicznych dwulatków, a zawojuję świat!”

Dzieci w wieku od piętnastu do trzydziestu sześciu miesięcy nie życzą sobie być w żaden sposób ograniczane ani hamowane, nie mają też najmniejszego zamiaru tego ukrywać. Oburzają się na każdą próbę położenia ich spać po południu, a codzienne wieczorne przygotowania do snu to ciężkie, wyczerpujące przejście dla całej rodziny. Małe łobuziaki chcą się bawić wszystkim, do czego tylko dosięgną, najchętniej delikatnymi i cennymi ozdobami. Zdecydowanie wolą korzystać z majtek niż z nocnika, a jeść muszą koniecznie rękami. Nie trzeba chyba wspominać, że to co trafia do ich buzi, przeważnie nie jest jedzeniem. Kiedy uda im się wyrwać na wolność w sklepie, uciekają co sił w małych tłustych nóżkach.

Podnoszą kota do góry za uszy, a potem wrzeszczą wniebogłosy, gdy kot je zadrapie. Chcą, żeby mama nie odstępowała ich na krok przez cały dzień, a najlepiej, żeby cały czas się z nimi bawiła. Takie małe dziecko to prawdziwe tygrysiątko!

Rodzice, choćby nie wiem jak poprawnie postępowali z tymi słodkimi maleństwami, i tak prawdopodobnie będą mieli trudności z utrzymaniem ich w ryzach. Z tego powodu nie powinni wymagać od swoich dwulatków, żeby zachowywały się jak starsze, bardziej dojrzałe dzieci. Cierpliwy nadzór doprowadzi w końcu do poskromienia małego anarchisty, ale prawdopodobnie dopiero między trzecim a czwartym rokiem życia. Niestety, stosunek dziecka do autorytetów może w tych najmłodszych latach doznać poważnego uszczerbku. Rodzice, którzy tak mocno kochają swych małych, sprytnych tłuscioszków, że nie potrafią się im sprzeciwić, mogą bezpowrotnie stracić nad nimi kontrolę. Najmłodsze lata życia dziecka to czas, w którym rodzice powinni - delikatnie, lecz stanowczo - przekonać je o tym, do kogo należy **władza w domu**.

Zetknąłem się kiedyś z matką buntowniczego trzynastolatka, który odrzucał każdy, choćby najdrobniejszy przejaw władzy rodzicielskiej. Nie wracał do domu wcześniej niż o drugiej nad ranem i umyślnie sprzeciwiał się każdej prośbie swej matki. Przypuszczając, że ten brak kontroli z jej strony to problem istniejący od dawna, poprosiłem ją, by opowiedziała mi, jak do niego doszło. Pamiętała dokładnie, kiedy to się zaczęło - jej syn nie miał jeszcze wtedy trzech lat. Zaniósł go do jego pokoju i położyła do łóżeczka, a on splunął jej w twarz.

Zaczęła mu tłumaczyć, jakie to ważne, żeby nie pluć mamusi w twarz, ale przerwał jej następny mokry pocisk. Matkę tę uczono kiedyś, że wszelkie sytuacje konfliktowe można rozwiązać miłością, wyrozumiałością i poprzez rozmowę. Wytarła więc twarz i zaczęła od nowa, w tym samym momencie jednak otrzymała kolejny, dobrze wymierzony cios. Czując narastający gniew, matka potrząsnęła dzieckiem... jednak nie na tyle mocno, by przeszkodzić mu w osiągnięciu celu po raz kolejny.

Co więc matka mogła zrobić? Jej filozofia nie przewidywała żadnego honorowego wyjścia z tej żenującej sytuacji. W końcu, całkowicie wyprowadzona

z równowagi, wybiegła z pokoju, a mały zwycięzca splunął jeszcze na drzwi, które się za nią zamknęły. **Ona przegrała; on wygrał!** Rozdrażniona matka powiedziała mi, że od tego wieczoru nigdy już nie udało jej się zdobyć przewagi nad dzieckiem!

*

Gdy rodzice przegrywają w tych wczesnych konfrontacjach, trudniej im zwyciężyć w konfliktach, jakie pojawiają się później. Rodzice, którzy są zbyt słabi, zmęczeni lub zajęci, aby wygrywać w podobnych potyczkach, popełniają błąd, za który drogo przyjdzie im zapłacić, gdy ich dziecko wkroczy w wiek dojrzewania. Jeśli nie potrafimy zmusić pięcioletka, żeby pozbił swoje zabawki, jest rzeczą nieprawdopodobną, byśmy zdołali utrzymać go w ryzach w najbardziej buntowniczym okresie jego życia.

Trzeba sobie uświadomić, że okres dojrzewania to kondensacja czy też podsumowanie całego procesu wychowania oraz postaw i zachowań, jakie wykształciły się wcześniej. Każda kwestia, która nie została rozstrzygnięta w ciągu pierwszych dwunastu lat życia dziecka, może nabrznieć i wybuchnąć w okresie dojrzewania. Dlatego też najodpowiedniejszy moment, by zacząć rozbrajać bombę zegarową przygotowywaną przez nastolatka, dwanaście lat przed jej podłożeniem. Dr Bill Slonecker, pediatra z Nashville i mój bardzo dobry znajomy, powiedział kiedyś w programie radiowym fundacji Focus on the Family (Rodzina w centrum uwagi): „Jeśli dyscyplina rozpoczyna się drugiego dnia życia dziecka, to jest już o jeden dzień za późno”.

Dr. Sloneckerowi nie chodziło oczywiście o bicie niemowlęcia czy też jakiś inny rodzaj kary cielesnej jako takiej. Miał on na myśli to, że rodzice powinni być „zwierzchnikami” swoich dzieci; powinni na tyle mocno je kochać, by utrzymywać nad nimi kontrolę. Zbyt często obserwował w swej praktyce zawodowej matki, które bały się pokierować swoim niemowlęciem. Dzwoniły do niego do gabinetu, wyrzucając z siebie histerycznie: „Moje sześciomiesięczne maleństwo ciągle płacze i wydaje mi się bardzo gorące”. Doktor pytał, czy dziecko ma gorączkę, na co padała odpowiedź: „Nie wiem. On sobie nie da zmierzyć temperatury”. Takie matki już oddały część swojej władzy niemowlęciu. Będą tego żałować przez całe życie.

Muszę w tym miejscu zaznaczyć, że w niektórych przypadkach źródło buntowniczego zachowania jest zupełnie inne niż bezczelna prowokacja, którą opisałem. Wrogość i uparte sprzeciwianie się rodzicom mogą być spowodowane frustracją, rozczarowaniem lub odrzuceniem; trzeba je wtedy potraktować jako sygnał ostrzegawczy, którego nie wolno zlekceważyć. Kto wie, czy rozróżnienie tych dwóch, tak odmiennych przecież, motywów działania nie jest najtrudniejszym zadaniem wychowawczym stojącym przed rodzicami.

Oporne zachowanie dziecka kryje w sobie zawsze pewną informację dla rodziców, którą muszą odczytać, zanim zaczną działać. Ta informacja przybiera często postać pytania: „Kto tu rządzi - ty czyja?” Potrzebna jest zdecydowana odpowiedź na to pytanie, by zapobiec przyszłym próbom obalenia ukonstytuowanej władzy w domu. Z drugiej strony, swą wrogą postawą junior może nam sygnalizować: „Czuję się niekochany, odkąd pojawił się ten mój wrzeszczący braciszek. Przedtem mama się mną zajmowała, a teraz nikt mnie nie chce. Nienawidzę wszystkich”. Jeśli takie jest ukryte znaczenie buntu, rodzice powinni niezwłocznie zlikwidować jego przyczynę.

Najbardziej skuteczni są ci rodzice, którzy posiadli umiejętność patrzenia oczami swego dziecka, myślenia w sposób, w który ono myśli, odczuwania tego, co ono czuje. Na przykład, gdy dwulatek krzyczy i płacze przy kładzeniu go wieczorem do łóżka, trzeba się upewnić, co chce nam w ten sposób zakomunikować. Jeśli rzeczywiście przerażają go ciemności panujące w pokoju, to nasza reakcja powinna być zupełnie inna niż wtedy, gdy dziecko po prostu protestuje przeciwko pójściu spać. Sztuka bycia dobrymi rodzicami polega na ciągłym odczytywaniu znaczenia ukrytego za zachowaniem dziecka.

Jeśli rodzice znają swoje dziecko, potrafią dostrzegać to, co dzieje się w jego małej główce. Dziecko powie im, co myśli, jeśli tylko nauczą się słuchać uważnie. Gdy jednak nie opanują tej umiejętności, będą ciągle błądzić w ciemnościach, szukając właściwej reakcji.

Reasumując punkt pierwszy: **podstawowym celem stosowania dyscypliny wobec dziecka jest zdobycie i utrzymanie jego szacunku. Jeśli rodzicom się to nie uda, ich życie stanie się rzeczywiście przykre. w następnym rozdziale przejdziemy**

do omówienia pozostałych czterech elementów tradycyjnego sposobu wychowywania dzieci.

1

Woodstock - miasto w stanie Nowy Jork, w którym w 1969 r. odbył się wielki festiwal muzyczny, zwany Festiwałem Życia, stanowiący jednocześnie manifestację pacyfistycznego światopoglądu młodego pokolenia Amerykanów (przyp. tłum.)

2

leseferyzm - zostawienie komuś całkowitej swobody działania, niewtrącanie się (przyp. tłum.)

3

permissyvizm - pozwalanie na wszystko w ramach źle pojętej tolerancji (przyp. tłum.)

4

Thomas Gordon - twórca popularnego w USA Kursu Skutecznego Rodzicielstwa (Parent Effectiveness Training), wyznająca teorię przeciwną władzy rodzicielskiej (przyp. tłum.)

5

Ruth Westheimer - seksuolog-terapeuta, występująca często w amerykańskich programach telewizyjnych i radiowych oraz na łamach czasopism (przyp. tłum.)

6

Phil Donahue - autor popularnego w USA show telewizyjnego (przyp. tłum.)

7

popularne amerykańskie czasopisma dla kobiet (przyp. tłum.)

8

w języku angielskim gra słów: „girdle”-pasdo pończoch, „griddle”-blacha do pieczenia (przyp. tłum.)